

ZIARNO

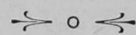


HOP, HOP, CWAŁEM, KONIU WRONY!

Układ i rysunek J. KOSSAKA.
(Dumka J. B. Zaleskiego).

DUMKA.

J. B. ZALESKIEGO.



Hop, hop, cwałem, koniu wrony,
Leć do pułków, do mej żony.

Dłużej chwilką
Jeszcze tylko
Do Stawiszcz mi służ.

Od Piatyhor, Pawołoczy
Bieży tłumnie lud ochoczy;

Nalewajki
Lotne czajki
Płyną Dnieprem już.

Wnet pospieszą rejestrowi
Ku odsieczy Czehrynowi,

Przy rozgłosie
Dum po rosie
Przypuścimy szturm.

Zagra ziemia pod kopyty,
Proch pomiecie słupem wzbity,

Urah! głosy
Pod niebiosy
Wzleczą z brzękiem surm.

Ho, ho, darmo — nigdy w stepie
Zdrad tatarskich nie prześlepie,

Jak się biją,
Gdzie się kryją,
Znam jak murza hord.

Umiem znać wpaść na karki,
Rąbać szablą, grzmieć z janczarki,

W lewo w prawo,
Szybko, żwawo
Nieść ogień i mord.

Widać, widać już Stawiszczce,
Wiatr w chorągiew miasta świsz-

Daszka szyki [cze,
Brzmią okrzyki,
Biją dzwony z wież.

Dniowa gwiazda, chmurna, blada,
Za krzywiecki las zapada.

Wrony koniu,
Po tem błoniu
Prędzej, prędzej bieź.

Miga w dali dwór mój biały,
Grają trąbki, grzmią wystrzały,

Widna moja
Złota zbroja,
Sokół, chart i koń.

I ot stoi tam u drzewa
Moja młoda czarnobrewa,

Piękne oczy
Łzami mroczy,
Zatamuje dłoń.

Wolniej, wolniej, koniu hyży,
Niech się luba moja zbliży,

Stój, stój chwilę,
Niech się schylę,
Pocałunek dam.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga,
Śmierć i życie w mocy Boga;

Proś Go lepiej,
Niech pokrzepi,
Natchnie męstwem nas.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga,
Wrócę zdrowy — w łasce Boga,

Przez las dołem,
Z psem, sokołem
Wrócę w ranny czas.

A gdy śpiącą cię zastaniem,
Zbudzę głośnień całowaniem,

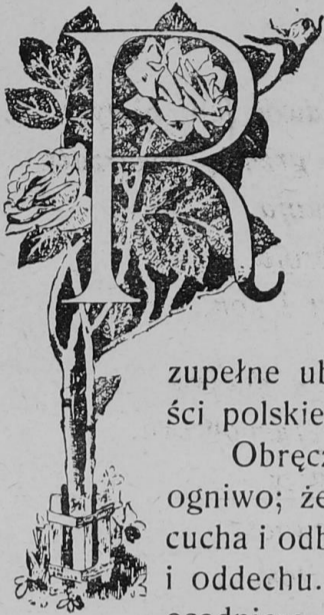
Klasnę, świsnę,
Zbroją błysnę,
Z czoła otrzesz znój.

Nie płacz, nie bluźń, czas upływa,
Bądź mi zdrowa i szczęśliwa.

Próżne słowa!
Bądź, bądź zdrowa!
Dalej, koniu mój!



ATRYUMF HAKATY.



ząd berliński zapowiedział wnie-
sienie do sejmu nowej ustawy
parcelacyjnej, obowiązującej na
obszar całego państwa pru-
skiego. Pozornie chodzi mu
o zapobieżenie nieprawidłowe-
mu rozdrabnianiu większej wła-
sności, w zasadzie ma na oku

zupelne ubezwładnienie parcelacji i własności polskiej w obrębie granic pruskich.

Obręcz dławiąca ostatnie ma otrzymać ogniwo; żelazna klamra zepnie końce łańcucha i odbierze skazańcowi możliwość ruchu i oddechu. Komisja kolonizacyjna, ustawa osadnicza, prawo o wzmocnieniu niemieckiej ziemi, wywłaszczenie — oto środki złowrogie, które gniotą byt ekonomiczny Wielkopolski; koroną bezprawia będzie ustawa parcelacyjna, tłumiąca wszelki rozwój i ruch agrarny. Tak chcą hakatyści, rozkaz ich wykonywa rząd Wilhelma II, a sejm w Berlinie ochoczo da swe potwierdzenie, wcielając nowe prawo do paragrafów „konstytucji” pruskiej.

Jeszcze przed ustawą o wywłaszczeniu żądali hakatyści zakazu parcelacji i nabywania ziemi przez polskich robotników z zachodu oraz synów gospodarskich. Prawo miało mieć charakter ograniczony i dotyczyć tylko dzielnic polskich. Rząd wzbraniał się i wskazywał na inne sposoby wygładzania. Nie chciał nowych paragrafów wyjątkowych i sprawę odkładał do sposobniejszej chwili. Przytem chodziło mu o nadanie ustawie wyglądu ogólnego, któryby wręczał mu broń równie silną, a obejmującą i te kresy państwa, gdzie nie mieszkają polacy. To wymagało pracy i dokładnego obmyślenia ciosu, któryby miał pozór ustawy powszechnej dla Prus całych, a jednocześnie skutecznie zamykał koło śmiertelnej obręczy, założonej na szyję polaków, duńczyków i alzatzyków.

Nad motywami hakatystów nie ma się co zastanawiać. To w paroksyzmach wściekłości drgająca gadzina, co jadem swym bryzga na prawo i lewo, byle niszczyć i tuczyć się na ruinach, byle żyć grozą swej władzy. Wielkopolska dla tych ludzi jest ziemią obiecaną, tak jak niegdyś prowincje podbite urzędnikom rzymskim służyły jako łatwy i podatny obszar do pozyskania bogactw kosztem uciśnionej ludności. Żądza wpływu i pieniędzy — to powody krzyżaków kresowych, bynajmniej niezawile.

Obecnie chcieli może jeszcze zakryć odkrycie ich spisku z rusinami nowym pozorem swej władzy i utwierdzić swój wpływ na rząd pruski i dlatego przyspieszyli ogłoszenie projektu ustawy, zapowiedzianej już ogólnikowo przez Wilhelma II przy otwarciu nowego pięcioletnia sejmu pruskiego

nikowo przez Wilhelma II przy otwarciu nowego pięcioletnia sejmu pruskiego

Jakimi powodami rzeczowymi powodował się rząd pruski? Od lat kilku rozmaite organa urzędowe i półurzędowe głoszą niepowodzenie komisji kolonizacyjnej. Osiedlono co prawda kosztem miljarda marek 200 tys. kolonistów i osłabiono liczebnie ludność, a raczej wyborców polskich. Lecz stan posiadania niewiele się zmienił. Zwiększyła się natomiast wraz z wzrostem ceny wydajności ziemi i zapal do podniesienia gospodarstwa rolnego i podniósł się handel i przemysł polski po wsiach i miasteczkach. Wzrosła zaś przede wszystkim świadomość narodowa, która po wyładowaniu swej energii w walkach partyjnych wchodzi obecnie na tory spokojnej pracy społecznej. Nie sprawdziły się przepowiednie Bismarka: ostała się większość ziemian i chłopów i chociaż wyrósł ród spekulantów i handlarzy, coraz baczniejsza i ostrożniejsza opinia, coraz silniej spajające się stany rolników większych i mniejszych, potędze germanizacyjnej skuteczniejszą z dnia na dzień stawiają zaporę.

Rząd nie może nie widzieć wreszcie różnic pomiędzy obu narodowościami, które rzucił w wir walki śmiertelnej. Polacy, korzystając chociaż pośrednio z ogromnego napływu pieniędzy do kraju, nie wyparli się swych ideałów, raczej wzmocnili się i uświadomili duchowo; niemcom chodzi zaś wyłącznie o zysk materialny. Wreszcie ujawniła się z biegiem lat jeszcze jedna strona ujemna ograniczonych co do przestrzeni Wielkopolski praw wyjątkowych; polacy wyparli z W. Ks. Poznańskiego i Prus Król, zakupywali ziemię i osiedlali się w prowincjach przyległych, na Szlązku, w Prusach Książ. i na Pomorzu. Granice Wielkopolski, w rdzeniu swym niewiele osłabione, rozszerzyły się w dzielnicach, które Niemcy uważali już za kraj czysto germański.

Co zamierza nowa ustawa? Krótko mówiąc, chce państwo uniemożliwić polakom na całym obszarze Prus parcelację i wogóle nabywanie ziemi. Na parcelację większych obszarów musi dać pozwolenie przez rejencyjny, a ma odmówić konsensu, skoro podział ziemi sprzeciwia się kolonizacji wewnętrznej, popieranej przez państwo. Czyli że polskiemu właścicielowi i polskiemu bankowi bezwzględnie będzie zabroniona sprzedaż ziemi. Nadto w ustawie zastrzeżone jest dla państwa prawo przedkupu. Wszelki obszar ponad 10 ha. (20 morgów polskich), o ile nabywcami nie są najbliżsi krewni, może zakupić rząd znów na cele „kolonizacji wewnętrznej”. Czyli że przychodzi dla polaków zastój w handlu ziemi zupełny i to nie tylko w dzielnicach, objętych ustawą kolonizacyjną, lecz na ob-

szarze całych Prus. Więc drugie ostrze ustawy godzi w duńczyków, trzecie w alzatzyków.

Co począć społeczeństwo wielkopolskie, całkiem obezwładnione na swej glebie ojczystej, przy pewnym upadku ceny ziemi, przy zupełnym zastoju podaży gruntów w całości i w częściach?

I teraz, gdy jeszcze poszczególne paragrafy ustawy nie są ściśle wyjaśnione i nie przejdą obrad w komisjach i głosowania w obu izbach sejmowych, i potem, gdy okropne, zabójcze te paragrafy staną się prawem, obowiązywać będzie w wszystkich burzach i kłeskach niezmiennie hasło: stać i trwać i nie sprzedawać ni piędzi ziemi prusakowi! Może trzeba będzie utworzyć związek obrony ziemi — za przykładem duńczyków. Banki parcelacyjne muszą otrzymać inny kierunek. Trzeba będzie pomyśleć o uprzemysłowieniu kraju, trzeba w tym kierunku szukać nowych dróg pra-

cy i zbytu, trzeba oświecać i kształcić społeczeństwo. Wobec nadchodzącego niebezpieczeństwa zupełnego zubożenia rolniczego kraju przez barbarzyński rząd pruski i jego straż poboczną z łona hakatystów, trzeba będzie obmyśleć nowe wartości rzeczowe i duchowe.

Nastąpić musi zupełny zwrot w zadaniach młodego pokolenia. Obroną polskości muszą się stać miasta z zasobnym stanem średnim, z przemysłem wielkim i małym, z rozwojem fabrycznym i prawidłowym handlem. Dotąd rolnicy utrzymywali ludność miejską, teraz zadanie podtrzymywania ziemian spada na kulturalne, narodowe miasta wielkopolskie.

A wtedy i ten nowy zamach, najokrutniejszy z dotychczasowych ciosów, wstrzyma silna wola i gorące serce narodu, który kocha szczerze swoje ideały i broni swych skarbów ojczystych.

Wacław Gryżyński.

PIOTR JAXA BYKOWSKI.

PAMIĘTNIKI WŁÓCZĘGI.

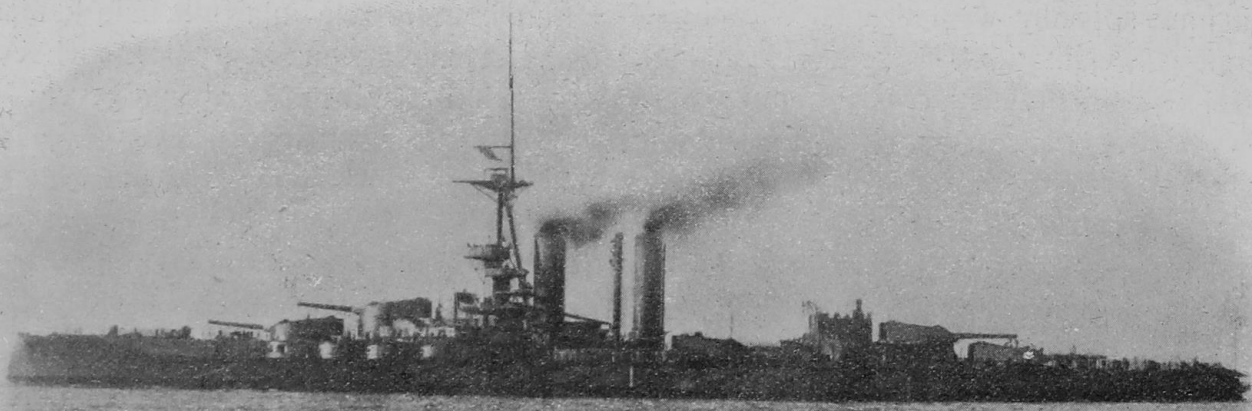
MYSZURES.

(C. D.).

Żal był powszechny po tej cichej, a zacnej duszy. Nawet Hamaniec, przed którego oczyma tysiące śmierci się przesunęło, mocował się jak mógł z swym żalem. To targał wąsy, to tarł oczy, to głośno chrząkał, a na pocieszenie mrucał sobie:

Z śmiercią Zadorzyny, zabrakło pod tą strzechą łącznika, łagodzącego zaostrzone stosunki pomiędzy narzeczonymi, zabrakło życia w całej zagrodce; wszystko to uleciało z duszą ciepłą i kochającą poczciwej niewiasty. Dom i jego mieszkańcy okryli się nie dla czezej formy nieklamana żałobą.

Pierwsze chwile żalu po zmarłej przeszły dla wszystkich w pewnym odosobnieniu. Olimpja mało się pokazywała obu współmieszkańcom, z szczególną starannością unikając spotkania z Krzuckim. Teraz dopiero poczęło się w Słotwianach na dobre przymusowe życie, bo każdemu z mieszkańców coś jakby ciążyło na sercu. Nawet Hamaniec, wiecznie



Angielski olbrzymi statek wojenny „Iron Duke“.

— Gdyby jeszcze nieboga nie tak marną śmiercią zginęła, choćby, nieprzymierzając, jak nasza marmietanka Luiza, co to panie stuk! benc! kula jej w jednej chwili urwała głowę i po całej paradzie, a ta nieboraczka wyciągnęła łapki tak sobie bez przyczyny... Niechże tu, mosanie, gadają jeszcze, że wojna na nic się nie przyda!

rubaszny i wesoły, uczuwał ciężar tego przymusu i sam sposepniał. Tak jakoś dzień po dniu smutno im się przewlókł, aż się miało ku końcowi żałoby i stary wojak począł występować w roli poważnej opiekuna:

— Synku, już czas po temu, ażebyś pociągnął swoją jejmościankę na kobierzec, bo podwiki tej

rozlazłości nie lubią. Skoroś jest narzeczonym, dopomnij się o swoje prawa i ostawajcie z Bogiem!... Długoż ja tu będę siedział między wami jak słomiany opiekun? Mnie już coś zalatuje zapach prochu, muszę poszukać po świecie jakiejś bitki, bo tak dłużej za piecem nie wysiedzę.

— Uszanujmy jej żal po matce, dobry pułkowniku, nie naglijmy, samo przez się to się robi.

— Nic samo przez się nie przychodzi, „pieczone gołąbki, nie lecą do gąbki”; weź się ostro do aśki, inaczej nigdy nie skończysz!

Wszakże pomimo nalegań Hamańca i pobudzo-

VIII.

Ś l u b.

Tak rzeczy trwały w Słotwianach, iż Hamańec z Krzuckim, pierwszy dla rozpędzaniu nudów, a drugi smutków, oddawali się mustrze i łowom, Olimpja zaś, jak zaczarowana królowa, włóczyła nudę po swoim zamku.

Raz łowcy zapuściwszy się za zwierzyną w głębokie puszcze leśne, zetknęli się z innymi myśliwymi, którzy obcy, nieświadomi miejscowości, tam się zabłąkali. Że zaś zabawa łowiecka zbliża swoich



Z. Rozwadowski.

Przed polowaniem.

nej przezeń energii Krzuckiego dziewczyna dziwnie obu imponowała swoją powagą i oziębłością, o którą nie tylko rozbijały się westchnienia narzeczonych, ale nawet wojowniczy animusz Hamańca, bo ile razy przysposobił się do przypuszczenia stanowczego ataku, zawsze zakończył na kapitulacji.

To życie, jakieś kłamane i sztuczne, wszystkim się stało nieznośnym: Olimpja dobywając z siebie smutek nieprzewyciężony, otoczyła się nim jakby niedostępnym kołem zaczarowanym, którego przekroczyć żaden z mężczyzn nie umiał.

Hamańec radził sobie jak zwykle; znów zgromadził sobie kompanijkę z szlachty czynszowej, którą musztrował na rachunek zalatującego z dala zapachu prochu, to dla rozmaitości zabawiał się łowami. Krzucki także szukając rozrywki w swoim frasunku, często się do kompanji przyłączał.

zwolenników, więc zawarcie znajomości nie było trudne, osobliwie z towarzyskim i dobrodusznym Hamańcem, a ponieważ pora była spóźniona, a najbliższym schronieniem były Słotwiany, więc zabłąkanych na nocleg tam zaprosili.

Przypadek zdarzył, że gośćmi w głuszy polejskiej i następnie w Słotwianach byli czarni huzarzy z Berdyczowa. Młody baron F., niegdyś Nuchimek myszuresowicz, był dziś sąsiadem, a stawał się razem z innymi kolegami gościem Florjana.

Tylko z Nuchimka łaskawa natura pozostawiła najkorzystniejsze przymioty tej „wybranej” rasy izraelskiej: ogień czarnego oka, matową białość oliwkowej cery, perłowy kolor zębów, karmin ust, połyskującą czarność włosów — słowem to wszystko, co do udoskonalenia urody potrzebnem było; nie dziw, że młody baron słynął z męskiej piękności.

Hamaniec nie posiadał się z szczęścia. Spotkawszy wojskowych, od razu był w swoim żywiole, do którego szczerze tęsknił, ile razy od niego się oddalił. I jeszcze ten sam traf zrzucił, że pomiędzy starszymi kolegami barona, odszukał dawnych wojskowych z bitew, w których i on brał udział. Wprawdzie w przeciwnym obozie, ale gdy czas i okoliczności starły cechę nieprzyjaźni, miło było starym przeciwnikom o dawnych czasach chwały pogwarzyć.

Pierwszy raz tedy domek w Słotwianach rozwarł gościnne podwoje. Huzarzy kwaterujący o mil kilka w Łucku i jego okolicach stali się codziennymi gośćmi uprzejmych gospodarzy. Szczególniej gospościa ożywiona, miła, gościnna, nęciła do siebie, a duszą towarzystwa był młody baron, który do zalet pięknej powierzchowności łączył jeszcze inne: świetnego wychowania i licznych talentów. Olimpja także odziedziczyła po matce i siostrze kunszt muzyczny na harfie, którą, zapomnianą przy smutku, dobyła teraz. Baron, już prawie domowy, sprowadził do Słotwian swój doskonały fortepian, na którym biegłym był mistrzem. Szumno i gwarno stało się w dworku, dotąd jakby grobowym. Uprzejmość pięknej gosposi była niewyczerpaną, dom zasłynął z wesołości i gościnnego przyjęcia, a sąsiadki dla przewrania sakramentalnych poleskich nudów, rade tam ścierały.

— Owóż, widzisz smyku, jak to trzeba sobie poczynać z podwikami. Widzisz, te huzary, dzielne chłopcy, rozruszali dziewczynę... Uczuciowością z babą nie nie wskórasz, zmarnieje ci i znudzi się. Teraz bierz jejmościankę na kobierzec, a będziesz miał żonę, mosanie, choć na prawe skrzydło ułanów.

Krzucki wdychając sobie w ukryciu, cieszył się, iż zasepione oblicze jego bóstwa rozchmurzyło się; a'e jakoś nie zebrał się z siłami na energiczniejsze wystąpienie.

W tem ożywieniu cała zima minęła w Słotwianach. Na wiosnę gruchnęła wieść, że huzarzy mieli zmienić leże. Wieść tę z przykrością przyjęli mieszkańcy dworku, a najbardziej zasepiło się piękne czoło Olimpji. Smutek jej był więcej niż zwyczajnym i możeby ludzie przenikliwsi niż Hamaniec i Krzucki dostrzegli w tem znak poważniejszy, niż poprzednie znudzenie. Baron był przecież coraz częstszym gościem, a zawsze mile widzianym przez piękną gosposię.

Nakoniec wymarsz huzarów stał się pewnikiem. Na pożegnanie kompanja hojnie podejmowana w Słotwianach, wyprawiła gościnnym gospodarzom łowy w większych lasach, o mil kilka od Słotwian odległych. Hamaniec i Krzucki pospieszyli na uprzejme zaprosiny, lecz po przybyciu doznali smutnego zawodu, nie znalazłszy w towarzystwie barona i kilku bardziej zbliżonych z nim kolegów. Niebytność ich usprawiedliwiono powodami służbowymi, które z nieprzewidzianego rozkazu władzy stanęły im na

przeszkodzie; lecz wszyscy zapewniali, iż później lub wcześniej znajdą się pomiędzy nimi.

Zdawała się rzecz z pozorów wcale naturalna, jednak Hamaniec zasepił się na tę wiadomość. Nic jakoś nie powiedział, ale gdy rozpoczęto łowy, puszczone psy i rozstawiono ludzi, Hamaniec zrobił parę kroków i wydał okrzyk bolesny:

— Tam do diabła, wywichnąłem łapsko!

A siedząc na ziemi, syczał cicho z bólu i tarł nogę.

Zakrzętnęli się koło niego, lecz on prawił:

— Dziękuję waszmościom za troskliwość, ale tu nic nie pomoże, jedno tylko smarowanie, co mi niegdyś przepisał chirurg nasz szwoleżerów i jeżeli go rychło nie zastosuję, będę się długo cackał z tą łapą; znam się na tem!

— Natychmiast pošemy dwóch ordynansów na rozstawnych koniach, aby panu pułkownikowi przywieźli żądane lekarstwo, a tymczasem możeby co zaradzić: wody zimnej, spirytusu...

— Wdzięchen nieskończenie jestem waszmościom za łaskawe względy, ale tego lekarstwa nikt tam w domu nie znajdzie; zachowałem je tajemnie na wszelki wypadek, bo mi go mało zostało, a wreszcie potrzebuję zupełnego wypoczynku przez dni kilka. Przykro mi jest niezmiernie, że ich miłą kompanję muszę opuścić!

A zwracając się do Krzuckiego, dodał:

— Każ, chłopcze, co rychlej zaprzęgać, bo czuję, jak mi to obrzydłe łapsko puchnie.

Nic nie pomogły namowy i prośby uprzejmych gospodarzy, którzy ofiarowali się wysłać z pomiędzy siebie kolegów dla sprowadzenia lekarzy; widocznie upór Hamańca krzyżował im jakieś plany.

— Już jeżeli inaczej być nie może, niech przynajmniej pułkownik Krzucki nas nie opuszcza— molestowali gospodarze.

Lecz temu już zdołał szepnąć niedostrzeżenie Hamaniec:

— Niedawaj się, chłopcze, jedź ze mną!

Skoro wsadzili na brykę stękającego i chromającego Hamańca i Krzucki siadł przy nim, a znikli już z oczu huzarom, Hamaniec ozwał się do woźnicy, którym był dawny sierżant z jego kompanji, jeden z rozbitków szlachty krzuckiej, i dzielnie się z końmi obchodził:

— A no, bracie, masz cztery konie, dowieź nas jednym do domu, chociażby trzy padły w drodze, ale marsz! marsz!... Wiesz, jak to szwoleżery do ataku chadzały...

— Słysz, panie pułkowniku! — odparł, salutując sierżant.

Świsnął na konie i krzyknął po swojemu, a popędził, aż zdało się, że bryczkę rozbija na pniakach.

— Cóż to z nogą, pułkowniku? — spytał po chwili Krzucki.

— Furda łapa, synku, tu może o głowę chodzi! — odparł lakonicznie Hamaniec.

— Niepojmuję cię, pułkowniku...

— Bodajbys nie potrzebował rozumieć, a mnie mój węch omylił. Ale sza... o tem potem.

Całą drogę był zły, czasem burczał na woźnicę:

— Chłopcze, czołgasz się jak ślimak, nie jak szwoleżer!

— Uczciwszy subordynację, panie pułkowniku, niejedenby szwoleżer daleko za nami pozostał.

Przestrzeń była taka, że przy najlepszym biegu, wyruszywszy około południa z miejsca, mogli stanąć w parę godzin po zachodzie słońca. Jakoż tak się stało.

W domu znaleźli jakieś niezwykle zamieszanie, drzwi roztwarte, światło w wszystkich oknach gorzało, a służba wybiegła na ganek.

Hamaniec, nim wysiadł z bryczki, już zawołał na sługi.

— A gdzie panienka?

Nastąpiło kłopotliwe milczenie.

Wojak krzyknął gniewnym, podniesionym głosem:

— Słyszycie, trutnie, smyki, pytam, gdzie panna Olimpja?

— Wyjechała — bąknął jeden zachrypłym z strachu głosem.

— Także gadaj, trudniu, kiedy cię pytają; wiedziałem o tem.

Zwrócił się do woźnicy:

— Słuchaj, Walek, czyś bardzo zmęczony?

— A czego mam być zmęczony, proszę pana pułkownika, czy tego, że konie biegły? To ich rzecz męczyć się.

— Dobierzesz mi, chłopcze, jeszcze z czterech zuchów z kompanji, ale dzielnych towarzyszków, niech siądą na koń, broń nabijają i tu mi ich zaraz przyprowadzisz, tylko duchem, rozumiesz!

— Słyszę, panie pułkowniku — odparł sierżant ochoczo.

Tymczasem Krzucki, drżący i blady, wpadł do wnętrza domu. W pierwszej izbie na stole leżał papier, świeżo zapisany, zaledwie czas miał zaschnąć atrament. Krzucki chwycił drżącą ręką kartkę, która latała mu przed oczyma. Długo czytał, jakby wzrokowi nie dowierzał i jąkał wylękłym głosem:

„Panie Krzucki!

Wdzięczna będę do grobu za pańskie dobre chęci i łaskawe względy dla mnie. Lecz nasze drogi rozchodzą się, nie byliśmy dla siebie przeznaczeni. Proszę się mną więcej nie zajmować, idę tam, dokąd mię los i serce prowadzą.

Olimpja“.

„P. S. Co do Słotwian, o rozporządzeniu mojem w tej mierze zawiadomię pana niedługo.

O.

— A no, synku, w drogę! — krzyknął, potrząsając za ramię osłupiałego młodzieńca Hamaniec.

— Dokąd?

— „Dokąd?” co za pytanie! Za nią! Wydrę ją, chociażby samemu lucyperowi z gardła.

— Gdzież ona jest? — zadał machinalnie pytanie, jeszcze nieoprytomniawszy z przerażenia Krzucki. (d. c. n.)



Na mojem niebie jest gwiazda złowroga...



*Na mojem niebie jest gwiazda złowroga,
I nigdy, nigdy się już nieprzepali,
W nocnej wyprawie odbiła się w stali
Szablicy dziada—gdy padł klnąc na Boga...*

*Na mojem niebie jest gwiazda złowroga,
Każdego zmierzchu po niebie się snuje
I każdej nocy srebrzysta pożoga
Otacza parku modrzewie i tuje.*

*Na mojem niebie jest gwiazda złowroga,
Gdy nocą wyjdzie na nieba przestrzenie,
To się posągi zamieniają w cienie,
A duchów pełna jest do dworu droga.*

*Na mojem niebie jest gwiazda złowroga
I błyszczyć będzie już tak całe wieki
I całe wieki zaglądać do proga
Wymarłych dworów i w mój sen daleki.*

Józef Węgliński.



OSKAR KOLBERG.

(W setną rocznicę urodzin.)

Dnia 22 lutego 1814 roku w Przysusze, w pow. opoczyńskim, województwie sandomierskiem, przyszedł na świat Oskar Kolberg, człowiek, o którym z całą słusnością można powiedzieć, że wzdłuż i wszerz własnymi stopami Polskę przemierzył.

Dla ludoznawstwa polskiego ten zbieracz pieśni i melodji ludowych był jakby zesłańcem Opatrzności. Zjawił się, aby dać trwałą, niewzruszoną podwalinę nauce, która wówczas nie marzyła jeszcze o tem, że stanie się z czasem samodzielna, potężnie rozrosłą gałęzią wiedzy. Nie był Kolberg sam i nie





E. ANDRIOLLI.

POKATNY DORADCA.

był pierwszy, bo pracowali już na tem polu: Adam Czarnocki, Wacław z Oleska i Karol Lipiński — ale prześcignął wszystkich niezmordowaną wolą i w rezultacie uczynił własnymi środkami i własną energją to, co gdzieindziej czyniły instytucje. Był dobrowolnym po kraju wędrowcem, pracującym nie z ramienia akademji, bo tej nie było, ale posłusznym temu rozkazowi wewnętrznemu, który prowadził go po ziemiach polskich od jednego ich krańca do drugiego, z notatnikiem i zwitkiem nut w ręce. Przystawiał na łańcach żniwnych, wstępował do chat wiejskich, zaglądał do karczemi, gdy go tam zwabiło rzępolenie skrzypka wiejskiego, bywał na weseliskach hucznych, na wieczornicach, a wszędzie słuchał pilnie, zapisywał i utrwał skarby twórczości ludowej, aby je nam przekazać i ocalić od zagłady.

Wbrew temu, co mówi o nas przysłowie: „Cudze chwalicie, swego nie znacie“ — Kolberg znał wszystko, co swoje i kochał wszystko, co swoje. Znał lud polski na całym obszarze Rzeczypospolitej. Nie obce mu były tajemnice wsi krakowskiej i wsi na Kurpiach, znał Podhale i Augustowskie, Kujawy, Lubelskie, Szląsk i Wołyn. Docierał wszędzie i z każdej wycieczki wracał z nowymi zdobyczami. Tak powoli budował sobie niespożyty pomnik zasługi, nie przewidując, że stanie się ona z czasem tytułem do niewygasłej wdzięczności narodu, który z czcią wspomina dzisiaj jego imię.

Brzmi ono na pozór obco, ale jak w całej działalności Kolberga nie było nic obcego, tak i w nim samym wszystko było polskie.

„Wszakże i moje nazwisko jest *tylko pozornie niemieckie* — wyjaśniał Karłowiczowi — gdyż rodzina pochodzi z pomorza bałtyckiego, pierwotnie słowiańskiego, gdzie dotychczas jeszcze mieszka wielu ludzi *koło brzegów* morskich i jest takie miasto“.

Istotnie, ojciec Kolberga, Juljusz przybył do Warszawy z rodzinnej Meklenburgji, której mieszkańcy mają w żyłach dużo krwi słowiańskiej. Matką jego była francuska, Karolina Mercoeur. Dzieci jednak otrzymały już wychowanie polskie. Atmosfera w domu Kolbergów była też nawskroś polska, o czem wiarogodne świadectwo daje poeta Kazimierz Brodziński, w blizkiej żyjący przyjaźni z rodzicami Oskara. Jedyną zaś „pozostałością niemiecką“ Juljusza było to, że tłumaczył na ten język niektóre poezje Kurpińskiego i Brodzińskiego i umieszczał je w pismach zagranicznych.

Był Juljusz Kolberg początkowo w służbie pruskiej, ale po utworzeniu Księstwa Warszawskiego w r. 1807 wszedł natychmiast w służbę publiczną polską, jako inspektor pomiarów w komisji spraw wewnętrznych. Musiał być wybitnym w swoim zawodzie specjalistą, skoro Staszic zaproponował go na profesora geodezji, miernictwa, topografji i rysunków technicznych w uniwersytecie warszawskim. Katedrę tę otrzymał w r. 1819 i pozostawał na niej do d. 29 listopada 1830 r. Poza naukami inżynier-

skimi lubił jednak i uprawiał poezję i muzykę, o czem świadczy zażyłość jego z Elsnerem.

Te właśnie upodobania i skłonności odziedziczył po ojcu Oskar, który już jako uczeń liceum warszawskiego z zamiłowaniem oddawał się muzyce pod kierunkiem Vettera i Dobrzyńskiego. Lata 1830/31 wytrąciły go z normalnej kolei nauki. Oddano go wówczas na praktykę do kantoru bankierskiego. Suche kolumny cyfr nie mogły jednak wystarczyć artyście. W r. 1835 widzimy go już w Berlinie, gdzie pracuje nad nauką harmonji u Girschnera, a następnie u Rungenhagena. W ciągu tych dwóch lat rozstrzygnęły się losy jego przyszłości. Wprawdzie później, ulegając konieczności, musiał wrócić do biurka i spędzić kilkanaście lat jako skromny urzędnik kolei wiedeńskiej (1845—1858), na której brat jego starszy, Wilhelm, zajmował jako wybitny inżynier stanowisko naczelnika wydziału — ale z muzyką i z umiłowaną pieśnią ludową nie rozstał się już nigdy.

Od r. 1842 widzimy go już w nieustannych wędrówkach, które tak obfity i cenny ludoznawstwu polskiemu plon przynieść miały. Zebrane przez niego melodie wychodziły początkowo w drobnych zeszytach. Pierwsza, znaczniejsza serja jego zbiorów ukazała się w formie książkowej dopiero w r. 1857 p. t. „Pieśni ludu polskiego“. Wydawnictwo to było zrębem, na którym oprzeć się miało późniejsze wielotomowe, kapitalne, jedyne w swoim rodzaju dzieło Kolberga: „Lud“. Jak zwykle w naszych warunkach wydanie tak mozolnie zebranych materiałów nastęrczało wiele trudności. Musiał Kolberg walczyć z brakiem środków i z obojętnością publiczną. Uparta jego wola i energja posuwały jednak powoli dzieło naprzód i w każdym razie, jeszcze za życia autora większość jego rękopisów znalazła się pod tłocznią. Pozostałymi zaopiekowała się Akademia umiejętności.

Z jej też ramienia urządzony został w Krakowie uroczysty obchód setnej rocznicy urodzin znakomitego zbieracza pieśni ludu polskiego.

Akademia również powierzyła prof. Romanowi Zawilińskiemu opracowanie obszernego życiorysu Kolberga, a d-rowsi Z. Jachimeckiemu — jego puścizny muzycznej. Dodać należy, że wśród tej puścizny obok operety p. t. „Król pasterzy“ i obrazka „Janek z pod Ojcowca“ znajdowała się także opera „Wiesław“, napisana według sielanki Brodzińskiego.

Zgromadzenie i oświetlenie tych pamiątek po Kolbergu jest jednym z najpożądańszych aktów pietyzmu, jaki winni jesteśmy życiu, pracy i zasługom „ojca ludoznawstwa polskiego“, który zbliżył ku nam i dał nam poznać najśladszą patokę pieśni rodzimej, tej „pieśni gminnej“, która jest i zawsze będzie „arką przymierza między dawnymi a nowszymi ludźmi i laty“.



PRZEZNACZENIE.

OPOWIEŚĆ ORMIAŃSKA.

Zima była mroźna. Noc zapadała wcześniej, wicher szalał i śnieżycą uparta trwała tak długo, że mieszkańcy wioski Oma zapomnieli już prawie, kiedy po raz ostatni widzieli jasność dzienną, słońce i niebo pogodne. Wichura wyprawiała iscie demoniczne harce, ogarniając przedmioty dokoła zabójczym swem tchnieniem. Ludzie, zwierzęta, chaty i drzewa, wszystko drżało i kostniało niewiadomo czy z zimna, czy z przerażenia. Szczęściem, że jak przeciw piorunom biedni wieśniacy mieli znak krzyża, tak w czasie zimowej zamieci chronili się do obór i do ciepłego „saki“.*)

Hu! hu! wył raz po raz wicher rozbijając się z wściekłością o ściany domu, gdzie goście Melika Szachina, siedzieli po obydwóch stronach „saki“. Wyjmowali wtedy z ust fajki i pełni trwogi zaprzestawali rozmowy.

Toć mróz i śniegi pożądane są w właściwym czasie, ale cóż znaczy ten wicher straszny. Zdawało się, że wszystkie bóle ziemi, westchnienia słabych, krzyk bazbronnych, łzy i nędzę uciśnionych zgromadziwszy w swą tubę wiatr rozpuścił na ziemię, aby przerażonym uszom ludzkim mówiły o nieuniknionem przeznaczeniu.

Był to zaiste koncert straszny, jakoby złożony z ryków szatanów, wycia zgłodniałych wilków i jęków umierających... od tej melodii włos jeżył się na głowie, język kostniał i tchu niedostawało...

Wtem dach zatrzęsł się.

— Cóż za piekielna wrzawa — ozwał się jeden z wieśniaków — nieprzyjacielowi największemu nie życzyłbym wyjść teraz w góry.

— W góry? — odparł ktoś szyderczo — nie miałbys odwagi pójść nawet do sadu, a mówisz o górach.

Znowu zamilkli, gdy nagle drzwi sieni zaskrzyphiały i z ciemności wyłonił się mężczyzna, odziany w płaszcz pasterski, pokryty cały śniegiem.

— Niech będzie pochwalony — rzekł przybyły wchodząc i strząsając śnieg z obuwia.

— Witamy cię Kai! — wołano z wszech stron — jesteś zziębnięty strasznie! Zróbcie mu miejsce, niech zasiądzie z nami!

— Tak, na Boga, jestem na wpół żywy — rzekł ten, którego nazywano Kai. — Wicher i śnieżycą i co za wicher!... Powiedziałem sobie, ogrzeję się trochę i znów pójdę dalej!

Usiadł; na kominie lampka rzuciła mdławę światło, w którym odcinały się twarze wieśniaków siedzących w baranich czapkach na głowie. Przybyły

*) „Saki“ wążka izba bez okien, oświetlona jedynie małym otworem w dachu.

zdawał się być człowiekiem jeszcze młodym, ale męczarnie życia wycisnęły znamię surowości na jego obliczu i poryły czoło przedwcześnie zmarszczkami. Oczy małe, ale bystre. Był płatnym stróżem nocnym wioski. Był ormianinem, których dawniej mieszkało tu wielu, lecz rozproszyli się po świecie, on tylko został sam jeden, niby zóraw spóźniony. Zebranią się brzydził, więc został stróżem. Nie wiedziano na pewno, jak się nazywał; zdaje się, że było mu na imię Nacho, mówili mu więc Mcho, a w końcu po prostu „Kai“, co oznacza w narzeczu ich: ormianina z wioski „Ośm“. Kai zasiadł pod ścianą milcząc, a wicher wył dalej jakoby zranione zwierzę.

— To taka noc zaskoczyła tamtego nieszczęśliwego — ozwał się sołtys wioski Gewo — nic dziwnego, że zatonął w śniegu.

Mówiono o wieśniaku, który kilka dni przed tem zginął podczas zawieji śnieżnej w górach.

— A mówiłem mu: nie wychodź w drogę na takie powietrze, masz przecież żonę i dzieci — zauważył ktoś drugi.

— Ej, co tam bredzisz, tak mu było pisano — rzekł Melik — musiał pójść w góry i utonąć w śniegu. Któż ujdzie swemu przeznaczeniu!

— Prawda, prawda Meliku, co komu napisano, to już go nie minie!

Przeznaczenie i zawsze przeznaczenie! zastanawiano się nad tem długo i stosowna to była rozmowa podczas wichury, ryczącej pod nad głowami.

Każdy wyłuszczał swoje zdanie, lecz wszyscy zgodzili się na to, że człowiek piłką jest w rękę przeznaczenia i że wobec niego rozum, trud wszelki i praca bywają bezsilne.

— Nie wierzę w przeznaczenie — ozwał się w tejże chwili głos z pod ściany.

Oczy wszystkich zwróciły się na mówiącego z zdumieniem.

— Któż jest ten siłacz? — pytał szyderczo Melik.

— Do usług, Meliku, mówię, iż w przeznaczenie nie wierzę — powtarzał uparcie biedny Kai.

Oburzenie było ogólne, bo jakże mogło być inaczej; toć bogaty i potężny Melik obawiał się przeznaczenia, także surowy sołtys Gewo, przed którego laską wszyscy drżeli, a nawet ksiądz pleban pod koniec kazania wspominał często o przeznaczeniu, tylko ten nędzarz Kai nie bał go się widocznie.

— Tak jest — mówił dalej mimo spojrzeń pogardliwych, które rzucano na niego — i mógłbym wam dowieść zaraz, że mam słusność, lecz teraz muszę już wrócić do służby.

— O zostań, zostań! — zawołało kilka głosów ciekawie. — Sołtysie, powiedzcie mu przecie, aby pozostał, dzisiaj chyba nikt we wsi kraść się nie odważy.

Na ogólne więc życzenie zasiadł znów Kai na ławie i tak mówić zaczął:

— W owym roku było nas dziesięciu, a wszyscy równem byliśmy przejęci uczuciem, z głową płonąca, z sercem, co tonęło w morzu boleści i hańby strasznej, wołającej zemsty! Wędrowaliśmy miesiące całe przez ciemne lasy, pola i przepaście, poiłszy się z jednej krynicy z węzami i odpoczywaliśmy na kamiennych łóżach w skałach. Co było robić? Dość długo już znosiliśmy cierpliwie prześladowanie, lecz niegodziwość wrogów naszych nie miała miary. Życie stało się dla nas nieznośnem, nie było chleba, a ten, co nam dawano, zaprawiony był żółcią i trucizną. Porzuciliśmy więc dom, rodzinę i mienie, aby ratować honor od plamy i wzięwszy strzelbę na ramię, poszliśmy w góry. A jeżeli człowiek takiego, jak my, dozna losu, jeżeli mu zabijają dzieci, zabierają matki i siostry, poniewierając ojców, wtedy nie dziwnego, iż żar płonie w jego piersi, łzy nie sprawiają mu już ulgi, a słowa pociechy wydają się dzikiem szyderstwem! Wtenczas tylko znajdzie spokój i ochłodę, gdy zimne przyciska żelazo, gdy poczuje, że bronią tą zdolen położył trupem swego wroga, że i on jest człowiekiem!

Turcy i kurdowie nazywali nas buntownikami, ormianie zaś duchami zemsty. Przed nami szła trwoga, za nami śmierć, my byliśmy panami gór, my i orły dumne! Podobnie jak one rzucaliśmy się z nienacka na wroga i wytepiłszy mnogo Turków i Kurdów. Szukali nas zajadle, lecz niknęliśmy niespodziewanie niby szatany niewidzialne. Nie łatwo było wytropić buntownika, spotkać się z nim było okropnie! Tak tedy oczekiwaliśmy naszego przeznaczenia, wierząc w nie święcie. Nareszcie pewnego dnia na górze Sim spostrześliśmy, że zapasy naszej żywności są wyczerpane i wysłano mię, abym się postarał o inne. Udałem się więc w drogę wśród dnia jasnego bez jakowejś broni, bez laski nawet, bo sądziłem, że w razie spotkania nieprzyjaciela, to właśnie ochroni mnie od zguby, a gdybym miał zginąć, będzie to już snadź przeznaczenie moje.

(d. n.).

Gubernia Chełmska.

Zlepiona świeżo z przeróżnych kawałków i kawałeczków, nowa jednostka administracyjna w kraju naszym nie a nie nie przypomina pod względem swego wyglądu terytorjalnego dawnej ziemi chełmskiej, zaliczanej nb. nie do województwa lubelskiego pierwszej, przedrozbiorowej formacji,*) lecz do ru-

*) W roku 1815, po utworzeniu Królestwa kongresowego z małej części Księstwa Warszawskiego (1807 — 15), podzielono Królestwo na województwa (w liczbie 8). Lubo niektóre z nich zachowały swe dawne, przedrozbiorowe nazwy, wszakoż granice posiadały przeważnie inne: oto np. woj. Podlaskie za Rzeczypospolitą ciągnęło się po za Bug, obejmując ziemię: bielską i mielnicką (później obwód białostocki), gdy w roku 1855 woj. podlaskie objęło tylko ziemie po lewej stronie Bugu.

skiego, gdzie miastem naczelnem był Lwów. Dawna ziemia chełmska leżała po obu stronach Bugu i skła-



Kościółek w parafii Janowskiej w wsi Biała.

dała się: z pow. chełmskiego i krasnostawskiego, tudzież włości hrubieszowskiej, zaliczanej czasem i do woj. bełskiego.

Utworzona obecnie, na żądanie nacjonalistów ros. i ep. Eulogjusza, gub. chełmska stanowi bardzo wązki, wydłużony pas ziemi, ciągnący się na lewym brzegu Bugu, od granicy galicyjskiej i sięgający aż za Janów Podlaski, w obrębie dotychczasowej gub. siedleckiej. Zlepiono w tę jednostkę administracyjną ziemie, które za Rzeczypospolitą należały do



Odrzwia gmachu Infulackiego w Zamościu.

różnych województw (ruskiego, lubelskiego, bełskiego, brzesko-litewskiego i podlaskiego), a nawet do

różnych prowincji państwa: gdy południowa np. część obecnej gub. chełmskiej należała do Korony,



Włościanin z parafii Żółkiewka, typ ludowy z dekanatu krasnystawskiego.

północną zaliczano do wielkiego księstwa lubelskiego.

Z wszystkich kawałków i kawałeczków, z których sklejo gub. chełmską, najdawniej należała do Polski ziemia chełmska; wraz z całym woj. ruskim ziemie: lwowską, przemyską, halicką i sosnowską wcielił do Polski, jak wiadomo, Kazimierz Wielki.

Należąc za Rzeczypospolitej administracyjnie do wojew. ruskiego, ziemia chełmska nie miała z niem właściwie ścisłej łączności: oddzielało ją od woj. ruskiego — woj. bełskie, którego też tylko część północna (dawne powiaty horodelski i grabowiecki), weszła obecnie do składu gub. chełmskiej: całą część południową woj. bełskiego podczas pierwszego rozbioru Polski zabrała Austria, pod której panowaniem i dotąd pozostają: Krystynopol, Sokal itd.

W dużą liczbę miejscowości, wsławionych w dziejach naszych, obfituje nowa gubernia chełmska: 1) *Dubienka*, miejsce historycznej bitwy, stoczonej pod dowództwem Kościuszki w r. 1792. 2) *Sosnowica*, własność ongi Sosnowskiego, hetmana litewskiego. Będąc młodym oficerem i później Kościuszko przebywał tu często. W Sosnowicy też powziął naczelnik projekt wyjazdu do Ameryki. 3) *Dołholiska*, także jak i Sosnowica, położona w pow. włodawskim, własność ongi Estkowej. Wieś ta jest związana również z imieniem Kościuszki, który tu przebywał często u swej siostry, Estkowej. Jako pamiątka po nim pozostał nieduży pomniczek, własnoręcznie zrobiony przez Kościuszkę. 4) Pamiątkowe *Horodło*, miejsce pierwszej unji Polski z Litwą

w r. 1413. 5) *Rejowiec*, miasteczko założone przez Mikołaja Reja z Nagłowic, z wsi Kobyle, nadanej poecie naszemu przez Zygmunta Starego. 6) *Tyszowce*, miejsce zawiązania konfederacji w r. 1656 przeciwko nawałce szwedzkiej. 7) *Zamość*, mieszcząca ongi słynną akademję, znaną z dziejów naszej kultury. Zamość, twierdza pierwszorzędna za Rzeczypospolitą, został założony przez Zamoyskiego, naszego wielkiego hetmana i kanclerza. W czasie najazdu dzikich band Chmielnickiego na Polskę, Zamość odegrał w stosunku do Rzeczypospolitej rolę tamy ochronnej, która wstrzymywała wtargnięcie barbarzyńców. Za czasów Królestwa kongresowego, warownię Zamoyską obrócono na walkę z „wrogiem“ wewnętrznym i sadzano tam przestępców politycznych, wojskowych i cywilnych. Męczył się w tej fortecy przez czas bardzo długi w osobnej celi nieszczęśliwy major „czwartaków“, Walerjan Łukasiński, zmarły w roku 1868 w twierdzy Szlisselburskiej w Petersburgu, po 37-letnim tam uwięzieniu.***) Siedział również w Zamościu porucznik Pogonowski i został tam stracony za szalony pomysł opanowania i zdobycia twierdzy miejscowej. 8) Wreszcie *Hrubieszów* vel *Rubieszów*, *Rubieżów*, dawniej jako punkt położony na samej linii demarkacyjnej, dzielącej osiadłość polską od ukraińskiej. Starostwo hrubieszowskie po pierwszym rozbiore Polski i zabranii woj. bełskiego przez Austrię, odkupił wielkopomny nasz Staszic, tworząc tam historyczne Towarzystwo rolnicze hrubieszowskie.

(d. n.).

Aleks. Łętowski.



Kronika polityczna.

W ubiegłą sobotę stanął ks. Wied w granicach swego nowego państwa. Zawiózł go na wybrzeże Albanji okręt wojenny „Taurus“, poczem para książęca wylądowała wśród huku dział i okrzyków licznej ludności. Do zgromadzonych tłumów miał przemowę dotychczasowy wielkorządca Albanji, Essad basza, który zapewniał albańczyków o szczerych zamiarach księcia, nadanego im z woli Europy. Nowy władca utworzy najpierw silny gabinet ministrów, ten zaś ustanowi odpowiadające warunkom kraju i mieszkańców prawa. Utworzenie gabinetu powierzono podobno Turhanowi baszy, co dowodzi, że ks. Wied, aczkolwiek chrześcijanin i katolik, opierać swe rządy będzie na Turkach, uważając ich niewątpliwie za ludzi bardziej kulturalnych, niż albańczyków chrześcijańskich.

Tymczasem w najbliższym sąsiedztwie Albanji wybuchło i szerzy się groźne powstanie, wywołane przez epirejczyków. Pierwotnie popierali ich po cichu Grecy, teraz jednakże skutkiem nacisku mocarstw,

**) Dzieje i życie Łukasińskiego w cennej monografii dwutomowej opisał niedawno prof. Askenazy.

rząd ateński przystąpił do energicznego tłumienia rozruchów. Epir miał za wolą mocarstw należeć w swej północnej części do Albanji, mieszkańcy zaś żądają przyłączenia ich do Grecji. Pod naciskiem gabinetów Venizelos wysłał regularne wojska do Epiru, którego okręg zwany Kolonją oddano pod straż żandarmerji albańskiej. Równocześnie zarządził rząd grecki blokadę dla okrętów państw nad wybrzeżem epińskim, aby zapobiedz zatargowi międzynarodowemu przez możliwe starcie powstańców z flotą cudzoziemską. Położenie przedstawia się bardzo poważnie i jedynie dyplomacją da się zażegnać opór epińców przeciwko nowemu władcy Albanji. Układy przeprowadzić musi pod naciskiem trójprzymierza Grecja wbrew własnym interesom, odkładając zagarnięcie Epiru do stosowniejszej chwili.

Coraz groźniej odzywają się w ostatnim czasie głosy o grożącej rzekomo wojnie europejskiej pomiędzy Austrią i Niemcami z jednej, a Rosją i Francją z drugiej strony. Rząd berliński podobno opracował już w wszelkich szczegółach plan kampanji przeciwko Francji, przygotował napad na forty graniczne i postawił wojska na stopie wojennej. Nie brak wszakże twierdzeń, że te wszystkie alarmy są wywoływane celem wywarcia nacisku na Rosję, aby uzyskać pod groźną wojny jaknajkorzystniejsze traktaty handlowe. Dotychczasowy układ kończy się w r. 1917, a z kół rosyjskich odzywają się głosy, że przyszły traktat nie może zawierać tyle ustępstw i korzyści na rzecz Niemiec. Prasa francuska wyraża nadzieję, że Rosja uniezależni się od wpływów niemieckich i nie pozwoli sobie dyktować warunków nowego układu.

Z wszystkiego wynika, że Niemcy czuć się muszą bardzo pewne; u siebie w kraju przygotowują nowe bezprawia, które muszą do najwyższego stopnia rozjątrzyć polską ludność kresową, a przytem z ogromną butą występują na zewnątrz jakby były pewne słabości zupełnej Rosji. Ich fachowcy wojskowi twierdzą też, że Rosja nie jest obecnie dostatecznie przygotowaną do wojny i dopiero za trzy do czterech lat mogłaby stawić czoło sąsiadowi zachodniemu; należy zatem położenie to wyzyskać i alarmami oraz pogroźkami wymusić najkorzystniejsze traktaty dla podniesienia przemysłu i handlu Niemiec. Francuzi dodają otuchy swemu sprzymierzeńcowi i oczekują jakiegoś objawu samodzielności i siły Rosji. Niewiadomo tylko, czy zwrot ten dla nich pożądanym nastąpi.

Lech.

Ziarnka naukowe.

(Największy zwierzyniec świata. — Zyski i straty. — Organizacja agentów. — Koszty wyprawy. — Polowanie na dzikie konie. — Ekspedycja nubijska. — Przygody marynarzy. — Przylacieł zwierząt i ludzi).

Posiadacz największego zwierzyńca w Europie, handlarz dzikich zwierząt na najwyższą skalę, był może tych zwierząt największym znawcą i największym miłośnikiem. Trzeba naprawdę wcztać się w dzieła zmarłego niedawno Karola Hagenbecka, aby zrozumieć, że był on nie tylko myśliwcem, nie tylko handlarzem, że był na prawdę znawcą przyrody, że ukochał głęboko jej twory, że umiał oddziaływać na zwierzęta bardziej aniżeli niejeden znany i głośny poskramiacz.

Nie może ulegać wątpliwości, że nie było na świecie człowieka, któryby w dziedzinie polowu zwierząt, w dziedzinie ujarzmiania ich posiadał więcej doświadczenia, aniżeli Karol Hagenbeck. Zawód jego dawał mnóstwo przyjemności, jakich doznaje nieomal każdy myśliwy; ale równocześnie kryły się w nim liczne niebezpieczeństwa. Przytem obok wielkich zysków materialnych, narażał się niejednokrotnie na wielkie straty, co zwykłemu myśliwemu nie grozi nigdy. Straty bywały niekiedy olbrzymie.

Przed niewielu laty dostarczył mu jeden z jego agentów myśliwskich pięć pytonów z Singapore; największy z węzów miał 27 stóp długości, najmniejszy 22 stopy. Zwierzęta, bądź co bądź i dzisiaj jeszcze dosyć rzadkie w Europie, zniosły daleką podróż doskonale. Po przywiezieniu do Bremy były zupełnie zdrowe i rześkie. Skoro jednak chciano je wydobyć w Hamburgu z skrzyni, okazało się, że nie ma ani jednego żywego; wystarczyła jedna zimna noc, aby pozbawić je życia. Szkoda materialna wynosiła 10 tys. marek, a ileż było takich wypadków. Zdarzało się, że Hagenbeck stawiał kilkakrotnie na kartę cały majątek w ciągu nie wielu miesięcy. Tak np. donieśli mu kiedyś ajenci z rosyjskiego Turkiestanu, że udało im się nabyć znaczną ilość cennych zwierząt. I równocześnie niemal, gdy z Europy wysłano telegraficzne przekazy na banki, wychodziły z Azji telegramy, że zakupione za olbrzymie sumy zwierzęta zginęły skutkiem wylewu rzek na terenie Sir-Darja. Innym razem cały zbiór zwierząt z wschodniej Afryki — lwów, antylop, nosorożców i rzadkich ptaków — wyginął skutkiem choroby morskiej na morzu Północnem.

Ale Hagenbeck nie szczędził tysięcy i dziesiątków tysięcy, byleby zapewnić sobie ciągle nowe dostawy. W wszystkich częściach świata posiadał mnóstwo agentów doskonale opłacanych, którzy znowu posiadali upoważnienie najmowania do polowań dowolnej zupełnie ilości tubylców. Wystarczy przytoczyć jako przykład głośną wyprawę, wysłaną przez Hagenbecka do Mongolji na połów dzikich koni.

Ajenci Hagenbecka użyli wówczas do polowania 2000 mongołów, znających miejsca, gdzie dzikie konie prowadzą swe żrebacki w czasie od końca kwietnia do połowy maja. Wyprawa trwała niemal przez ciąg całego miesiąca. W oznaczonym miejscu rozbito olbrzymi obóz namiotów; ostrożnie palono ogniska, by nie spłoszyć dzikich zwierząt. Karawana żywiła się często kosztownymi konserwami na rachunek hamburskiego handlarza zwierzyny.

W okręgu kilku mil rozstawiono czaty, mające baczyć na ruchy zwierząt i donieść ewentualnie o ich zbliżaniu się. Przez cały szereg dni nie uzyskano żadnego wyniku. Aż wreszcie pewnego wieczora wystrzał z pistoletu zakłócił długą ciszę. To był właśnie znak oczekiwany. Mongołowie dosiedli koników, podobnych raczej do kuców, otoczyli zwar-

tem kołem całe stado ściganej zwierzyny i wychwytali żrebaki przy pomocy pętlicy. Przez ośm dni próbowano karmić młode zwierzęta, potem odprawiono je do najbliższego portu z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Ale wiadomo, jak trudno wychować dzikie konie w niewoli; z liczby 52 żrebaków, schwytych dla Hagenbecka, tylko 28 dotarło żywcem do Hamburga; reszta wyginęła w drodze.

Największą i najkosztowniejszą z wypraw, jakie kiedykolwiek zorganizował Hagenbeck, była wycieczka jego myśliwska do Nubji. Jeden z naczynych świadków opisuje transport schwytych zwierząt do Aleksandrii, gdzie wsadzono je wreszcie na pokład okrętu, w słowach następujących:

„Olbrzymia chmura pyłu wzbija się pod górę. Z wnętrza jej rozlega się tysiąc najrozmaitszych głosów zwierzęcych, tysiąc najrozmaitszych poryków. Ryczą bawoły, zdobne najdziwniejszymi rogami; beczą kozy i antylopy o fantastycznych niemal kształtach; ponuro i twardo kroczą słonie, nienawykłe jeszcze do niewoli; groźnie odzywają się lwy, dziko ciskające się w więżących je klatkach; z tem wszystkim zaś łączy się jeszcze hałas, jaki sprawiają setki gwałtownie gestykulujących ludzi. Lecz powoli opada chmura pustynnego piasku, a równocześnie spoglądamy z podziwem na dziwny naprawdę pochód. Około dwustu nubijczyków, myśliwców z dziada pradziada, prowadzi karawanę.

W długim szeregu kroczy kolejno przeszło 200 wielbłądów. Dźwigają one na barkach najrozmaitsze narzędzia, środki żywności, olbrzymie wory skórzanego z wodą do picia dla zwierząt i ludzi. Potem drepce 25 śmiesznych osiołków afrykańskich; któż się domyśli, jak ważne zadanie powierzono tym leniuchom do spełnienia. Za nimi kilka set kóz, których mleko służy do odżywiania młodych schwytych zwierząt. Pierwotnie posiadała wyprawa 400 owiec, ale prawie wszystkie zjedzono podczas podróży. Nieszczęsne stworzenia nazbyt były smaczne i dla ludzi i dla zwierząt. Lecz oto uwaganaśna zesrodkowuje się na bohaterach głównych wyprawy; oto idą, lub jadą na grzbietach wielbłądów schwyte zwierzęta. Przodem kroczy 14 słoni, spokojnie, z rezygnacją i powagą. Tuż obok niosą znów ogromne wielbłądy z wysiłkiem dwie klatki, z których wizerają ku nam potężne łby dwóch nosorożców. Kilkaset spętanych strusi posuwa się smutnie i powoli naprzód; za nimi 7 młodych lwów w klatkach. I coraz dziwniejszy staje się ten orszak: 11 żyraf, które wyciągają ustawicznie a bezcelowo długie szyje ku górze; 5 dzikich bawołów, parskających z niechęcią przy każdym przymuszonym kroku; dalej antylopy, gazy, nubijskie mrówkojady, pantery, hjeny, dzikie koty, rysie, małpy, orły, sępy, drobniejsze ptactwo w dobrze zaopatrzonych klatkach...“

Dalsze losy transportu możemy poznać z innych sprawozdań. Na pokładzie statku, który wiozł

to dziwne społeczeństwo zwierzęce do Europy, rozgrywały się niezwykle sceny. Pewnego dnia jeden z uwięzionych lwów wyswobodził się z klatki i wybrał się na przechadzkę po pokładzie. Przerażeni marynarze umknęli w głąb kajut; odważniejsi pospieszyli obudzić śpiącego właśnie w tej chwili Hagenbecka. On jeden nie stracił odwagi; pochwycił duży bat i wybiegł na pokład. Kapitan i sternik stali jeszcze na swych stanowiskach, obaj wybladli, z rewolwerami w ręku. Hagenbeck kazał przynieść otwartą klatkę i bez wysiłku zapędził do niej zbuntowanego lwa. Nawiasem wspomnieć można, że wyprawa kosztowała przedsiębiorcę z górą 200 tysięcy marek.

Przyjaciół zwierząt nie mniejszym był przyjacielem ludzi. To też wszyscy, którzy zrzędzeniem przypadku zatknęli się w życiu z Karolem Hagenbeckiem, zachowują o nim jak najmiłsze wspomnienie.

Z blizka i daleka.

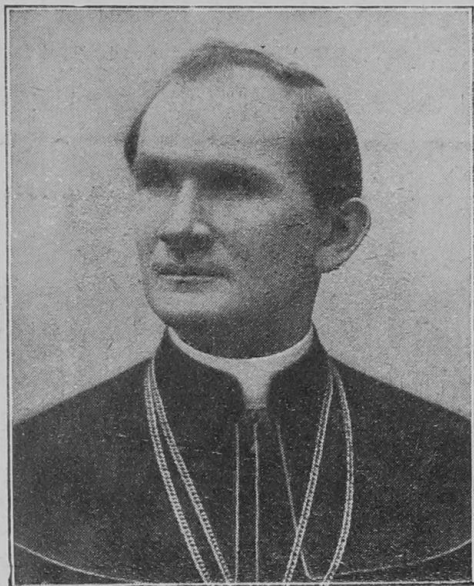
Kardynał książę biskup wrocławski, ks. Jerzy Kopp, urodzony w r. 1837 jako syn ubogiego tkacza, zmarł dn. 4 marca. Był wyjątkowym władcą kościoła, którego djecezja sięgała w granicę dwu państw. Podlegał mu bowiem Szląsk pruski i austriacki, a zmarły biskup zasiadał zarówno w berlińskiej jak i wiedeńskiej izbie panów.

Kopp był wrogiem Polaków; zakazał uczenia alumnów wrocławskich języka polskiego, zabraniał polskim księżom posłowania i występował wogóle wrogo przeciwko dążnościom szląskiego ludu. Szczególnie głośne było prześladowanie przez niego posła Korfantego, któremu zabronił nawet w obrębie swej djecezji udzielenia ślubu kościelnego. Dlatego był też wielkim jego przyjacielem cesarz Wilhelm II, zwłaszcza od chwili, gdy za jego sprawą podczas konklawe po śmierci papieża Leona XIII Kopp wystąpił przeciw kardynałowi Rampolli i przyczynił się do założenia weta przez kardynała polskiego ks. Puzyne.

Prof. Stanisław hr. Tarnowski wygłosił w Lwowie w sejmie galicyjskim głęboko pomyślaną, piękną w treści i formie mowę o stanowisku Polaków względem Rusinów, o związku podstępny rusinów z hakatystami pruskimi i o polityce polskiej w przyszłości. Mowa ta była chwilą historyczną w dziejach walki obu narodów i sprawiła wielkie wrażenie na zebraniu posłów galicyjskich.

Pół miliona na naukę polską. Tow. dla popierania nauki polskiej w Lwowie otrzymało od Bolesława Orzechowicza z Kalnikowa pod Przemyślem pół miliona koron na wydawnictwa naukowe względnie na zasilanie badaczy i uczonych polskich, pracujących na polu wiedzy. Warunkiem jest, że

prace ich ogłaszane będą zawsze w języku polskim. W razie rozwiązania lub zmiany celów T-wa fundusz ten przechodzi na Akademię Umiejętności w Krakowie względnie na zakład im. Ossolińskich w Lwowie. Szlachetny ofiarodawca spełnił czyn iście obywatelski, czyn godny polaka i dobrego syna narodu.



Ks. Idzi Radziszewski
nowy Rektor Akad. Duch. w Petersburgu.

Smutny los wyprawy. Norweski badacz stref polarnych i kompozytor Leden, który przedsięwziął podróż do Kanady północnej, w celu studjowania muzyki oraz innych właściwości ludoznawczych eskimosów, znalazł się w położeniu tragicznym, okręt jego bowiem uległ rozbiciu w zatoce Hudsona. Uczestnicy wyprawy stracili zapasy żywności oraz odzieży. Z wielkimi wysiłkami zdołali oni dotrzeć do Churchill, gdzie Leden leży obecnie chory, mając ręce odmrożone.

Kto otrzymał nagrody Nobla? Od utworzenia funduszu Nobla, z którego odsetek co rok otrzymują nagrody uczeni, literaci i apostołowie powszechnego pokoju, minęło lat 13. W tym czasie przyznano rozmaitym wybitnym osobistościom świata 76 odznaczeń. Najwięcej otrzymały Niemcy bo 17, cobywda ani jednej za apostołstwo pokojowe; potem idzie Francja z 13, Anglja z 7, Holandja z 6, Szwajcarja z 5, Włochy z 4 nagrodami. Potem już cyfra odznaczonych osób w danej narodowości maleje: Stany Zjednoczone, Szwecja i Belgja liczą po trzech laureatów, Danja, Hiszpanja, Rosja, Austrja po 2, a Norwegja, Luksemburg i Indje po 1. Na Polskę przypadają dwie nagrody: pierwszą otrzymał H. Sienkiewicz z literatury, drugą Curie-Skłodowska z chemji.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO“ wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna“ w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Zwiastuny wiosny. W Chojnach pod Piasecznem widziano dzikie gołębie, czajki, skowronki i dzikie gęsi i kuropatwy w parach. Skowronki ukazały się pod Międzyrzeczem, d. 16-go z. m. Nad dobrami wilanowskimi obserwowano dnia 23-go lutego kilka sznurów ciągnących gęsi. Stwierdzono, że niektóre ptaki owadożerne, jak: kosy, rudziki itd. pozostały u nas przez całą zimę.

Szarda.

Pierwsze oznacza zwykle powtórzenie,
Drugiego wstecz szukaj w odpust przy kościele;
Cały mąż znany z swej niezłomnej woli,
Który dla polaków złego zrobił wiele.

—*

Znaczenie łamigłówek zamieszczonej w nr. 9 „Ziarna“

T O M A S Z Z A N

nadesłali: Janina Bujalska z Warszawy, Oskólska z Kodymy, Br. Górski z Zielonki, J. Czerwiński z Goleniów.

Z losowania wypadły nagrody dla pp.: J. Bujalskiej z Warszawy i Oskólskiej z Kodymy.

Od Administracji.

Do numeru niniejszego (11) „Ziarna“ załączamy arkusz z modami oraz książkę oprawioną w płótno dla tych wszystkich prenumeratorów, którzy uiścili przedpłatę za kwartał I-szy.

Prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty na kwartał II-gi.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. Edw. Szw. w Dziep. Łamigłówki będą umieszczone; dziękujemy za życzliwość i prosimy o współpracownictwo. № 5 wysyłamy ponownie.

WP. Myśliń. w Anan. Wysyłaliśmy regularnie „Ziarno“ wraz z wszystkimi dodatkami. Jeżeli brak czego, to z winy poczty, do której należy się zwracać z napomnieniami, co my stale robimy za siebie i za naszych prenumeratorów. № 8-my wysyłamy ponownie wraz z prospektem. Prosimy wymienić nam brakujące dodatki.*

TREŚĆ N-ru 11.

Hop, hop, cwałem, koniu wrony! dumka J. B. Zaleskiego. — Tryumf hakaty. — Piotr Jaxa Bykowski: Pamiętniki włóczęgi. Myszurow (c. d.). — Na moim niebie jest gwiazda złowroga, wiersz J. Węglęńskiego. — Oskarg Kolberg. — Przeznaczenie, opowieść ormiańska. — Gubernja Chełmska. — Kronika polityczna. — Ziarnka naukowe. — Z bliska i daleka. — Szarda i rozwiązanie. — Od Administracji. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. I. Kossak: Hop, hop, cwałem, koniu wrony! — Angielski olbrzymi statek wojenny «Iron Duke». — Z. Rozwadowski: Przed polowaniem. — E. Andrioli: Pokątny doradca. — Kościółek w parafji Janowskiej w wsi Biała. — Oddrzwiał gmachu Infulackiego w Zamościu. — Włóścianin z parafji Żółkiewka. — Rektor ks. Idzi Radziszewski.